

Laura Bellini

Nasza ostatnia bezsenność

Jeden konkurs, dwoje rywali i noce,
których nie potrafią zakończyć.



Nasza ostatnia bezsenność

Jeden konkurs, dwoje rywali i noce,
których nie potrafią zakończyć.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - Czerwony długopis	10
Rozdział 2 - Światło po szóstej.....	28
Rozdział 3 - Drugi finalista.....	47
Rozdział 4 - To, czego nie wyrzucił	62
Rozdział 5 - Między dwudziestą drugą a czwartą.....	85
Rozdział 6 - Granice światła	106
Rozdział 7 - Nagranie z korytarza	130
Rozdział 8 - Paczka dla K17	145
Rozdział 9 - Przesyłka, której nie odebrał	167
Rozdział 10 - Noc bez projektu.....	183
Rozdział 11 - Imię, którego zabrakło	208
Rozdział 12 - Projekt 214	228
Rozdział 13 - Człowiek z monitoringu.....	248
Rozdział 14 - To, co zostaje po świetle	277
Rozdział 15 - Nazwisko z dawnego biura	299
Rozdział 16 - Uczciwa przegrana	315
Rozdział 17 - Pod własnym nazwiskiem	335
Rozdział 18 - Kiedy nie trzeba już wygrywać	356
Rozdział 19 - Wynik	378
Rozdział 20 - Pierwsza noc, której nie musieli kończyć....	398

INTRO

O drugiej siedemnaście w nocy zaczęłam podejrzewać, że budynek mnie nie lubi.

Stara elektrownia kolejowa na warszawskiej Pradze skrzypiała za każdym razem, kiedy wiatr wciskał się pod niedomknięte świetliki. W dzień te dźwięki ginęły pod rozmowami architektów, trzaskaniem laptopów i prezentacjami organizatorów konkursu. Teraz zostałam sama z czterema kondygnacjami cegły, stalowymi belkami i własnym projektem, który za niespełna sześć godzin miał zdecydować, czy moja pracownia przetrwa kolejny rok.

Na ekranie wciąż świecił plan parteru.

Przesunęłam punkt świetlny o dwadzieścia centymetrów.

Cofnęłam zmianę.

Przesunęłam go znowu.

- To nie jest projektowanie. To jest negocjowanie z lampą.

Głos dobiegł z ciemnego przejścia prowadzącego do dawnej maszynowni.

Drgnęłam tak mocno, że potrąciłam kubek.

Adrian Krawiec wyszedł zza betonowego filaru z dwoma papierowymi kubkami kawy w dłoniach i miną człowieka, który nie uważał pojawiania się bezszelestnie o drugiej w nocy za wadę charakteru.

- Myślałam, że pojechałeś do hotelu.

- To zabawne. Ja myślałem, że ty pojechałaś.

- W takim razie oboje jesteśmy rozzarowani.

Postawił jeden kubek na moim stole.

Nie podziękowałam.

Adrian uśmiechnął się tylko i odsunął o krok, jakby doskonale wiedział, że przyjmę kawę dopiero wtedy, kiedy będzie mógł udawać, że jej tam nie zostawił.

Był moim najgroźniejszym konkurentem od chwili, gdy trzy miesiące wcześniej ogłoszono finałową piątkę pracowni zaproszonych do konkursu na przebudowę elektrowni w całodobowe centrum kultury. Jego studio było większe, bogatsze i miało na koncie realizacje, o których moje mogło na razie pisać wyłącznie w prezentacjach pod nagłówkiem „inspiracje”.

Moje nazwisko miało jedną przewagę.

Potrafiłam projektować światło tak, żeby ludzie chcieli zostać w miejscu dłużej, niż planowali.

I właśnie na tym zamierzałam wygrać.

Organizatorzy pozwolili finalistom spędzić ostatnie dwa dni w budynku. Każdy zespół dostał osobne pomieszczenie robocze, dostęp do dokumentacji i możliwość wykonania nocnych pomiarów. Moi współpracownicy po północy pojechali spać. Kazałam im. O dziewiątej mieli wyglądać jak ludzie, którzy wiedzą, co robią.

Ja mogłam wyglądać jak duch.

Adrian usiadł na krawędzi sąsiedniego stołu.

- Nadal walczysz z główną halą?

- Nie walczę.

Spojrzał na ekran.

- Od czterdziestu minut przesuwasz tę samą lampę.

Odwróciłam się do niego.

- Obserwujesz mnie od czterdziestu minut?

- Słyszę kliknięcia myszy.

- To jeszcze gorzej.

Zaśmiał się cicho.

Nie lubiłam jego śmiechu. Był zbyt spokojny jak na człowieka, którego projekt mógł za kilka godzin odebrać mi kontrakt wart więcej niż wszystkie zlecenia mojej pracowni z ostatnich dwóch lat razem.

Nie lubiłam też sposobu, w jaki przy Adrianie przedstawiałam pamiętać, że mam trzydzieści dwa lata, własną firmę i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby nie reagować na mężczyzn tylko dlatego, że mają podwinięte rękawy koszuli i potrafią patrzeć tak, jakby rozmowa była czymś ważniejszym niż przerwa pomiędzy własnymi zdaniem.

Wzięłam kawę.

- To nie znaczy, że ci wybaczam.

- Co?

- Kawę.

- Nie wiedziałem, że wymaga wybaczenia.

- Od konkurencji wszystko wymaga podejrzliwości.

Jego uśmiech zniknął szybciej, niż się pojawił.

- Marta.

To, że powiedział moje imię poważnie, natychmiast mnie zirytowało.

- Nie.

- Jeszcze nic nie powiedziałem.

- Właśnie dlatego mówię wcześniej.

Zeskoczył ze stołu.

- Chodź ze mną.
- Zdecydowanie nie.
- Chcę ci coś pokazać.

Spojrzałam na zegar.

2:24.

- Jeżeli to twój projekt, wolę przegrać uczciwie.
- Nie chodzi o mój projekt.

To zatrzymało mnie skuteczniej niż prośba.

Adrian ruszył w stronę dawnej dyspozytorni. Po kilku krokach obejrzał się, ale mnie nie ponaglał.

Powinnam zostać.

Miałam prezentację do skończenia, trzy wizualizacje do sprawdzenia i dokładnie zero powodów, żeby nocą chodzić po opuszczonej elektrowni za człowiekiem, który rano miał stanąć przede mną przed tym samym jury.

Poszłam.

Dyspozytornia znajdowała się nad główną halą. Weszliśmy metalowymi schodami, których każdy stopień odpowiadał głuchym stukiem. Adrian włączył latarkę w telefonie.

- Znalazłem to za szafą - powiedział.

Na starym pulpicie leżała cienka szara teczka.

Na pierwszy rzut oka nie było w niej nic niezwykłego. Pieczęć urzędu miasta. Numer archiwalny. Data sprzed siedmiu lat.

Potem zobaczyłam nazwę konkursu.

Zatrzymałam się.

- Skąd to masz?

- Powiedziałem.
- Nie pytam, gdzie leżało.

Siedem lat wcześniej uczestniczyłam w pierwszym dużym konkursie w życiu. Miałam dwadzieścia pięć lat, za dużo wiary w ludzi i projekt, nad którym pracowałam przez cztery miesiące.

Nie wygrałam.

Pół roku później zobaczyłam fragmenty swojej koncepcji w realizacji innego zespołu.

Nigdy nie udowodniłam, skąd je mieli.

To wystarczyło, żebym przestała pracować dla innych.

Adrian otworzył teczkę.

Na pierwszej stronie widniała lista członków jury.

Na drugiej tabela ocen.

Na trzeciej moje nazwisko.

Pod nim, czerwonym długopisem, ktoś napisał:

„Projekt rekomendowany do finału. Wycofać przed publikacją wyników.”

Poczułam, jak kawa, którą wypłam kilka minut wcześniej, zamienia się w coś ciężkiego i zimnego.

- Tego dokumentu nie było w oficjalnym archiwum.
- Wiem.

Spojrzałam na niego.

Nie zapytałam, skąd wie.

Nie musiałam.

Na dole strony, pod odręczną adnotacją, znajdowały się trzy inicjały.

A.K.

Przez kilka sekund słyszałam tylko wiatr uderzający o szyby dyspozytorni.

- Powiedz mi, że to nie ty.

Adrian nie odpowiedział od razu.

I właśnie ta chwila wystarczyła, żebym zrozumiała, że nasz obecny konkurs przestał być jedyną rzeczą, którą mogliśmy tej nocy przegrać.

Rozdział 1 - Czerwony długopis

Adrian nie powiedział nic przez kilka sekund.

Stał po drugiej stronie pulpitu, z dłonią opartą o metalową krawędź i światłem telefonu skierowanym w dół, jakby zależało mu, żebym widziała dokument, a nie jego twarz. Nie miał już w sobie tej nocnej lekkości, którą jeszcze kilka minut wcześniej próbował rozbroić mnie przy kawie. Nagle wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać mój konkurent - skupiony, zamknięty i niebezpiecznie trudny do odczytania.

- To są moje inicjały - powiedział w końcu.

Nie wiedziałam, czy bardziej rozwścieczyło mnie przyznanie, czy fakt, że nie próbował zaprzeczać.

- Świetnie. To teraz druga część zdania.

- Marta...

- Bez mojego imienia. O drugiej trzydzieści w nocy, w budynku, w którym jutro mamy ze sobą konkurować, pokazujesz mi dokument sugerujący, że siedem lat temu ktoś usunął mój projekt z konkursu. Pod decyzją są twoje inicjały. Nie zaczynaj od tonu człowieka, który chce mnie uspokoić.

Przesunęłam kartkę w jego stronę. Papier był suchy i pośliznęłam się przy brzegach, ale czerwony zapis zachował intensywność. „Projekt rekomendowany do finału. Wycofać przed publikacją wyników.” Pod spodem A.K., niewielkie, pochylone litery.

Adrian spojrzał na nie tak, jakby widział je nie pierwszy, lecz setny raz.

To też zauważyłam.

- Wiedziałeś o tym.

Podniósł wzrok.

- Wiedziałem, że istnieje dokument.

- Od kiedy?

- Od siedmiu lat.

Roześmiałam się krótko. Bez humoru.

- To chyba rekord. A ja myślałam, że najgorszą rzeczą, jaką możesz dziś zrobić, będzie wygrać.

Odwróciłam się od stołu, bo nagle dyspozytornia zrobiła się za ciasna. Szklane ściany wychodziły na główną halę, teraz prawie czarną, tylko przy wejściu paliły się awaryjne lampy. W odbiciu widziałam własną twarz - zmęczoną, bladą i zbyt nieruchomą.

Siedem lat.

Przez siedem lat powtarzałam sobie, że może przesadziłam. Że architekci dochodzą do podobnych rozwiązań. Że publiczna przestrzeń, drewniane przepierzenia i system rozproszonego światła nie należą do mnie. Że być może moje poczucie krzywdy było wygodniejsze od przyznania, że po prostu przegrałam.

Potem zobaczyłam zdjęcia gotowej realizacji i już nie potrafiłam w to uwierzyć.

Nikt inny też nie chciał.

- Co dokładnie zrobiłeś? - zapytałam.

- Nie to, co myślisz.

- Nie wiesz, co myślę.